Opłata pocztowa uiszczona gotówką. Cena egz. 20 groszy

GŁOS NARODU

NIEDZIELA

4. KWIETNIA 1926.

NR. 78. — ROK XXXIII.

REDAKCJA, ADMINISTRACJA i DRUKARNIA: KRAKÓW, UL. ŚW. KRZYŻA 11.
KONTO CZEKOWE P. K. O. WARSZAWA: 140.055. — KONTO CZEKOWE P. K. O. KRAKÓW: 401.099.

Przedpłata wynosi:	W Krakowie z odnoszeniem	W Krakowie bez odnoszen.	Na całym obsz. Państwa polsk. z przesyłką pocztową	Za granicą	Przedpłata zniżona dla nauczycielstwa ludow.
Miesięcznie . . .	4·50 zł.	4·00 zł.	4·50 zł.	8·00 zł.	4·00 zł.

REDAKCJA TELEFON NR. 190. — ADMINISTRACJA TELEFON NR. 3344. — DRUKARNIA TELEFONY NR.: 3344 i 4406.

Treść numeru:

Vexilla Regis.

W okresie obrzędów roku kościelnego, dających nieustającej ofierze Mszy świętej ściemnione fioletem i kirem tło Męki Pańskiej, pogłębiamy naukę, że tak dla jednostki, jak dla narodu „religja objawiona zamknęła całą zagadkę życia ludzkiego w dwóch tajemnicach: Krzyża i Zmartwychwstania“... Przez wiek z górą żadne Misterjum nie odpowiadało tak duchowi polskiemu, jak Święta Wielkanocne. Wszak posąg Chrystusa upadającego pod krzyżem w Warszawie stał się symbolem dla całego narodu!

I oto doczekaliśmy się wielkiego zmiłowania. Zbliżył się do nas Krzyż zamieniony w sztandar Zmartwychwstania — Vexilla Regis — Chrystusa.

Minęło już lat kilka od wskrzeszenia Państwa Polskiego, ale dla wiernych ojczyźnie w niczem nie osłabło rokroczne niewymowne uniesienie tego religijno-narodowego zachwytu.

Skądże więc widoczne zewsząd przygnębienie, smutek i omal że zanik wielu dawnych zwyczajów, łączących nas niegdyś bratnio w rodzinnem uczuciu żywej radości i nadziei? Wszak tego nawet ciężkie jarzmo zaboru nam nie odebrało?

Mogli to tylko zrobić swoi; stokroć bardziej niszczycielski wróg wewnętrzny...

A nie winić nam tutaj zubożenia wojennego, ani mogił poległych tak prędko porosłych trawą. Niestety, spełnienie niedościgłych marzeń [illegible] pozostawiło naród bez wytycznej na dalszą metę, sprowadziło nas z dziejowej drogi na manowce. Zawód i rozczarowanie są dziś tem boleśniejsze, żeśmy sami winni...

W niebezpieczeństwie przesilenia politycznego, ekonomicznego i moralnego, w jakiem znajduje się dziś Polska, gdy zarówno zagrożone są: skarb Państwa, nietykalność granic, honor wojska, jedność rodziny i dobre imię całego narodu, wśród waśni zaślepionych stronnictw i zakusów rozdwojenia Państwa i Kościoła, przy anarchji pojęć i rozpasaniu tępej prywaty — budzi się potrzeba opamiętania i samooskarżenia.

Czyżby społeczeństwo polskie, jak ptak powracający do klatki, jak więzień zżyty z kratami, krążyło bezmyślnie koło dawnego więzienia, ujawniając swe kalectwa duchowe i wszystkie podziemne przyzwyczajenia niewoli?

Czy tak oślepiło nas słońce swobody, że nie pojęliśmy tej Wolności, która jest tylko prawem czynienia dobrze zgodnie z Zakonem Bożym? Nie postąpiliśmy moralnie ani kroku naprzód, — owszem, zaczęliśmy się cofać i rozpraszać. Poprzewracaliśmy stoły zastawionej dla nas biesiady na ziemi dość dobrej, płynącej mlekiem i miodem, wydzieraliśmy sobie nawzajem to, czego było dla wszystkich poddostatkiem.

A byliśmy po wojnie w tem szczęśliwem położeniu, że mogliśmy się oprzeć na kraju rolniczym, więc najprędzej dźwigającym się z ruin. Szkołę życia mieliśmy przecie na roli darzącej podwójną nauką: cierpliwości i prawdy, pod ojcowską ręką piastuna tradycji, którym jest Kościół. Wszak z tej szkoły wychodzili najznakomitsi Polacy, nowożytni mężowie stanu: Lubeccy i Wielopolscy, nie ideologowie, doktrynerzy i ryzykanci. My zaś, w przeciągu niewielu lat lekkomyślnej, ba, nawet hulaszczej rozbudowy Państwa i uganiania się za mrzonką postępu, polegającego na rozpasaniu żądz i próżniactwie, doprowadziliśmy kraj do bankructwa.

Niema ani jednej moralnej zasady, którejby nasz Sejm nie naruszył. Rozluźniliśmy węzły społeczne i utraciliśmy poczucie władzy, odpowiedzialności i przynależności do Państwa. Intrygi, knowania i rokosze na tle ogólnej sprzedajności, rozsadzały nasz ustrój przez potworny wynalazek: państwa w państwie, rządu w rządzie, komendy w komendzie. Dla ciemnych żywiołów, dopuszczonych do udziału bardziej w zyskach, jak w kierowaniu państwem, dowolność uchwał zastąpiła pojęcie prawa i sprawiedliwości. Puszczono wszystko na frymarkę. Staliśmy się pośmiewiskiem narodów, a mogliśmy byli kroczyć z najprzedniejszymi, mogliśmy stanąć na czele Słowiańszczyzny. Nieprzygotowanych i słabych, więc pozostających w tyle, popychanych z sali obrad do przedpokoju Ligi Narodów — zastaje nas dziś wielki przewrót pojęć, przygotowujący reorganizację społeczności narodów chrześcijańskich u źródeł średniowiecza Europy — w Rzymie.

Cóż innego dziś uratować może Polskę, jeśli nie skrucha i głębokie odrodzenie wewnętrzne, skupienie pod znakiem Kościoła Chrystusowego, który jest fundamentem naszych dziejów i kościec naszego narodowego życia? Patrzmy, co się dzieje nietylko z bezpieczeństwem pracy i dobrobytem, ale z uczciwością i honorem, gdy tylko zbłąkane społeczeństwo polskie oddali się na krok od zasad moralnych Kościoła!

W stolicy naszej mdłe cegiełki schyzmatyckiej Cerkwi zdają się naigrawać z władz polskich nieudolnie i barbarzyńsko wysadzających w powietrze szyby... własnych obywateli wśród śmiesznego borykania się z symbolem dawnej twierdzy ucisku, dziś — wyśnionej przystani dla tysięcy Polaków, szukających wygody rozwodu!

Naprzeciw zaś tego chaosu wydobyty z nurtów dziejowego zaboru Poniatowski — prawdziwy Marszałek — zdaje się gromić szalbierzy: „wojsko polskie było szkołą honoru, a wyście je uczynili jaskinią zbójców!“

Zaprawdę upadliśmy nisko.

Tedy przy tej Wielkiejnocy baczmy, byśmy wyczyścili już stary kwas z naszej wolności.

Używajmy jej nie w kwasie złości i przewrotności, ale w praśnikach szczerości i prawdy. Stał się cud, że Polska dźwignęła się z grobu z krzyżem w ręku, ale nieczyste ręce doczepiły doń płachtę czerwonego sztandaru, oszukując cały naród fałszywą chorągwią Zmartwychwstania. Dziś płachta owa ciężka, bo nasiąkła znojem i łzami zrujnowanych i krwią niesławnie zmarnowaną, opada, odsłaniając nagie drzewce krzyża. Vexilla Regis, Crux Christi, ave spes unica! Pod tym znakiem znów można [illegible], skupić, walczyć i zwyciężyć.

Franciszek Ksawery Pusłowski.

Prezes klubu Ch. D. o sytuacji politycznej.

ZMIENIĆ ORDYNACJĘ WYBORCZĄ!

— Jaki jest pogląd Prezesa na ordynację wyborczą i w jakim kierunku winna iść jej zmiana? — zapytaliśmy prezesa Klubu parlamentarnego Ch. D., p. Chacińskiego.

— Źródłem choroby naszego Sejmu — brzmiała odpowiedź — jest przedewszystkiem wadliwa ordynacja wyborcza. Zbyt duża ilość osób przy proporcjonalności wyborów pozwala wejść do Sejmu grupom małym i nieodpowiedzialnym, które niestety bardzo często i to przy rozstrzyganiu pierwszorzędnych spraw państwowych, bywają języczkiem u wagi. To też Ch. D., zdając sobie sprawę z tego, że trzeba uczynić wszystko, aby przyszły Sejm był bardziej zdolny do programowej pracy, stoi na stanowisku zmniejszenia ilości posłów, gdyż musi to wpłynąć automatycznie **na uwolnienie Sejmu od grup małych i niepoważnych,** natomiast stwarza większą możliwość wejścia do Sejmu grup dużych, które rozumieją swoją odpowiedzialność wobec społeczeństwa i Państwa. W tym też duchu Klub parl. Ch. D. wniósł do Sejmu projekt zmiany ordynacji wyborczej w ubiegłym tygodniu. Radykalniejszych zmian przeprowadzić nie można, bo zasady główne ordynacji wyborczej zostały ustalone przez Konstytucję, w której przeprowadzenie poważniejszych zmian w obecnych warunkach Sejmu jest również niemożliwe.

WZMOCNIĆ WŁADZĘ PREZYDENTA!

— A jakie zmiany w Konstytucji uważa p. Prezes za najbardziej w obecnej chwili celowe?

— Zmianę art. 26, który mówi, iż Sejm może się sam rozwiązać 3/5 głosów większości, lub może być rozwiązany przez Senat 3/5 głosów łącznie z Prezydentem. Dla znającego cośkolwiek stosunki w naszym Sejmie, nie ulega wątpliwości, że artykuł ten jest i pozostanie artykułem papierowym. Zebranie bowiem takiej większości w Sejmie jest bardzo trudne ze względu na to, że nie dla każdego ze stronnictw jeden i ten sam termin wyborów jest korzystny, ponadto działa tu również i ta okoliczność, że każdy organizm niechętnie wyrzeka się swej egzystencji, owszem, chce ją podtrzymać. Ponieważ jednak warunki mogą się tak ułożyć, że Izby ustawodawcze niezdolne do pracy, będą istotną zawadą w normalnem funkcjonowaniu Państwa, przeto możność usunięcia tej zawady musi mieć jakiś stały, stojący poza partjami, objektywny czynnik trzeci. Tym czynnikiem winien być Prezydent Rzplitej.

Dlatego też rozpocząłem pertraktacje z klubami w celu uzyskania należytego poparcia dla wniosku Ch. D. o zmianę powyższego artykułu Konstytucji **w sensie udzielenia Prezydentowi Rzplitej prawa rozwiązywania Izb.** Mam nadzieję, że uda mi się to poparcie uzyskać i że po ferjach świątecznych odpowiedni nasz wniosek zostanie zgłoszony do laski marszałkowskiej. (Wniosek o zmianę Konstytucji musi być poparty podpisami 111 posłów).

— A jakie jeszcze zadania winien według p. Prezesa spełnić obecny Sejm? — pytamy dalej.

— **Nie mielibyśmy nic przeciwko temu, aby obecny Sejm rozwiązać przed upływem kadencji,** ale tylko w tym wypadku, gdyby była nadzieja, że następny będzie lepszy. Sądzę jednak, że **bez zmiany ordynacji wyborczej nie da się to osiągnąć** i dlatego Sejm powinien przedewszystkiem załatwić zmianę ordynacji wyborczej. Ponadto ma on jeszcze do spełnienia obowiązki pierwszorzędnego dla Państwa znaczenia. Idzie mianowicie o uzdrowienie naszego gospodarstwa i budżetu. Bez oszczędności — oczywiście rozumnie i planowo przeprowadzanych — **czeka nas katastrofa.** Przeprowadzenie najkonieczniejszych oszczędności i faktyczne **zrównoważenie budżetu** wprowadzi Państwo dopiero na należyte tory i pozwoli mu uzdrowić stosunki gospodarcze, oraz utrzymać walutę. Gdyby Sejm obecny zdobył się na taki czyn, to niewątpliwie zasłużyłby sobie na zaszczytną kartę w dziejach naszego parlamentaryzmu.

— A na wypadek, **gdyby obecna koalicja upadła?...**

— Ponieważ koalicja bądźcobądź jeszcze jednak istnieje, przeto byłoby niewłaściwem dla żyjącego omawiać ceremonjał pogrzebowy.

CH. D. PRZECIW WICHRZENIOM W ARMJI.

Jesteśmy zaniepokojeni obecną sytuacją w wojsku. Jest bowiem nie do pomyślenia, aby w państwie praworządnem, armja była rządzoną przez chociażby najszacowniejsze, ale jednak nieodpowiedzialne czynniki. Z tym systemem musimy stanowczo zerwać. Stanowisko ministra spraw wojskowych musi zajmować człowiek, który będzie sprawował władzę nietylko formalnie, ale i faktycznie i który nie ograniczy się jedynie do roli oficera do szczególnych poruczeń. W tym też kierunku **zapowiadamy ostry kurs polityki naszej zaraz po świętach.**

KU LEPSZEMU!

— Należy stwierdzić — zakończył p. Chaciński — że tak Sejm cały, jak i większość stronnictw odbyły w ciągu tych 4-ech lat bardzo poważną i korzystną ewolucję. Przypominam sobie ciężkie i chmurne dni Zgromadzenia Narodowego i pierwsze miesiące działalności obecnego Sejmu, kiedy to posłowie z różnych obozów politycznych patrzyli na siebie, jak na zbrodniarzy i łotrów, i kiedy się zdawało, że rozumna myśl państwowa nie będzie mogła zapanować w murach przy ul. Wiejskiej. Ciężka troska o przyszłość Państwa kazała jednak szukać porozumienia i działać wspólnie ludziom niejednokrotnie z biegunowo przeciwnych sobie obozów. Jest to symptom bardzo pomyślny. Trudności stojące przed naszem państwem są tak widoczne, że rzeczywistość życiowa narzuca wprost wspólny program działania. Są oczywiście tarcia i zgrzyty, ale pomimo wszystko, idziemy ku lepszemu.

Warszawa, 31 marca.

Polityka Chrześcijańskiej Demokracji w Sejmie i Senacie.

Stronnictwo środka. — Zdala od demagogji. — Uzdrowić ustrój państwa. — Reforma ordynacji wyborczej. — Więcej władzy dla Prezydenta. — Zrównoważenie budżetu kapitalnym postulatem.

Chrześcijańska demokracja opierając się na zasadach etyki katolickiej, z natury rzeczy jest stronnictwem środka, centrowem. Prawda zazwyczaj leży w pośrodku, błąd jest odchyleniem od prawdy na prawo, albo na lewo. — Weźmy np. cnotę oszczędności, umiarkowania. Na prawo od niej skąpstwo, a lewo rozrzutność.

Działając w myśl naszego programu w Sejmie i w Senacie, **znajdujemy przeciwników raz na prawo, drugi raz na lewo, a czasem z obu stron.** Jesteśmy stronnictwem narodowem, mamy zatem w tych sprawach przeciw sobie lewicę, która narodowość usuwa na drugi plan. Za sobą mamy prawicę, ale nie zawsze, bo nieraz ZLN. idzie za daleko i nie w myśl etyki chrześcijańskiej. W sprawach robotniczych mamy często przeciw sobie prawicę, nieraz głosujemy razem z lewicą, ale znów nie zawsze, bo my mamy zawsze dobro państwa na oku, gdy lewicy często przesłania interes partji, interes państwa.

Każde stronnictwo, a więc i Ch. D., musi się oglądać na opinję swych wyborców, ale ta często może zgrzeszyć przesadą. Niektóre stronnictwa **licytują się z pokrewnemi, aby pozyskać sobie wyborców.** Jest to demagogja, objaw bardzo niezdrowy. I tak socjaliści licytują się z komunistami, nie pomni, że komuniści zawsze więcej obiecać mogą wyborcom, niż oni. Piast licytuje się nieraz z Wyzwoleniem z takim samym skutkiem. A my czy mamy w sprawach robotniczych i urzędniczych licytować się z PPS., albo z ZLN.? Byłaby to polityka krótkowzroczna, socjaliści nas zawsze przelicytują w sprawach robotniczych, a ZLN. często w sprawach narodowych. Najlepszą taktyką stronnictwa Ch. D. jest trzymanie się ściśle naszego chrześcijańskiego programu. Posłowie i senatorowie — to wybrańcy wielkiej rzeszy członków stronnictwa, ale ich obowiązkiem jest nie schlebiać popularnym nieraz hasłom, ale prowadzić szare masy, wskazywać im właściwe drogi, prowadzić tłum i oświecać, wychowywać go wedle zasad chrześcijańskich i demokratycznych.

Tak jak socjalna demokracja nie ma na długą metę szans zwycięstwa komunistów, tak i my, stronnictwo środkowe, stracilibyśmy grunt pod nogami, gdybyśmy się chcieli licytować z innemi stronnictwami. Naszym drogowskazem w trudnej grze politycznej powinna być zawsze etyka chrześcijańska, a więc sprawiedliwość i miłość, dobro państwa i wierne wykonywanie naszego programu.

W obecnej ciężkiej dla państwa chwili rozbrzmiewają dwa hasła równie popularne: zmniejszenie liczby posłów i senatorów i rozszerzenie władzy prezydenta Rzeczypospolitej. Trzecie hasło już słabsze, to wzmocnienie władzy Senatu. Ludzie spodziewają się, że to naprawi wszystko złe, co nas obecnie gniecie. Nie sądzę, aby urzeczywistnienie tych haseł wystarczyło do uzdrowienia państwa, nie mamy też nic przeciwko nim, o ile wprowadzi się je odpowiednio w życie. Zaczyna się obecnie wyścig stronnictw, które z nich prędzej postawi jak najradykalniejszy wniosek w celu zjednania sobie w ten sposób opinji publicznej. My pracowaliśmy od dawna nad **ordynacją wyborczą, mamy ją gotową i proponujemy 320 posłów.** Uprzedził nas ZLN. i poszedł niżej, bo zaproponował 222 posłów. Czy wniosek ten nie jest demagogicznym? Gdyby z tych 222 posłów wszyscy byli zdolni do pracy ustawodawczej, możeby to wystarczyło, ale przy pięcioprzymiotnikowem prawie głosowania dostaje się do Sejmu prawie połowa posłów niezdolnych do pracy ustawodawczej, a reszta 110, czy 120 posłów nie podołałoby pracy. Zresztą wniosek taki nie ma najmniejszych szans przejścia. My, stawiamy wniosek na 360 posłów, możliwy do przeprowadzenia i nie osłabiający zdolności Sejmu do pracy.

Drugie hasło: **wzmożenie władzy Prezydenta** przez odpowiednią zmianę konstytucji, my podjęliśmy i zbieramy podpisy, których potrzeba 111. Daje on Prezydentowi prawo rozwiązania Sejmu i Senatu, prawo może pożyteczne pod niejednym względem, ale możliwie przy nie dość stanowczym charakterze Prezydenta Rzeczypospolitej kryjąca w sobie także pewne niebezpieczeństwo. Możnaby się też zastanowić nad prawem veta dla Prezydenta.

Ale najgłówniejszym postulatem chwili obecnej jest **zrównoważenie budżetu** za pomocą oszczędności i reformy administracji i przy tym postulacie będziemy stać twardo, bez względu na groźby z innej strony, sprzeciwiającej się temu ze względów demagogicznych. Tu nie miejsce na ustępstwa: albo zdobędziemy się na czyn zrównoważenia budżetu choćby z wielkiemi ofiarami, albo oddajmy się zaraz w kuratelę Lidze Narodów. Miejmy nadzieję, że wzgląd na dobro państwa zwycięży i my bez obcej pomocy wyjdziemy zwycięsko z przesilenia.

Dr. M. Thullie, senator R. P.

Pod kopułą „europejskiej polityki".

Przyzwyczailiśmy się od pewnego czasu mówić o „europejskiej" polityce, jako o międzynarodowym kierunku, który zmierza do nadania dzisiejszej Europie form jedności politycznej i gospodarczej. Są tacy, którzy się lękają idealnego jeszcze obrazu tej przyszłej Europy, lub go z oburzeniem odrzucają; widzą w nim niebezpieczeństwa dla słabszych zwłaszcza państw, dla ich suwerenności politycznej i dla ich gospodarczego życia. Są inni, dla których „europejska" ideologja stała się nieledwie religją; tylko czekać, a w ich oczach powstanie literatura „europejska", dramat „europejski", sztuka „europejska" i t. d. Ktoś, kto dobrze zna Wiedeń, mówił mi, że inteligencja Austrji bez względu na zawody w dwóch trzecich prawie swej liczby wyznaje ideę „Pan-Europy", które się zresztą nie zupełnie pokrywają z tem, co się określa jako „europejską politykę". Nie trzeba dodawać, że entuzjazm „europejski" panuje przedewszystkiem w kołach i obozach popierających Ligę Narodów.

Nie jesteśmy zwolennikami poglądu, że obecny kształt polityczny Europy jest ostateczną formą jej rozwoju i nie wykluczamy możliwości radykalnej zmiany nawet w kierunku propagowanym przez idealistów z Genewy. — Z drugiej jednak strony szczerość przyznać każe, że, jak silną i naturalną jest tendencja do nadania Europie form pewnej organizacji, tak również znaczne są, a nawet dziś większe, niż wczoraj, trudności w tym względzie.

Pod kopułą „europejskiej" polityki, mającą zamknąć pod jednym dachem i uzgodnić niesforne, pokłócone, egoistyczne narody, — pod tą kopułą, budowaną i ozdabianą we wszystkie kolory szlachetnych marzeń pacyfistów, zbierają się obecnie chmury, które mogą zapewne rozwiać się, jak mgła poranna, ale też kopułę mogą rozsadzić, jak naładowane elektrycznością obłoki.

Są one dwojakiego rodzaju!

„Europejska" polityka jest dotąd przedewszystkiem polityką; jej głównem zadaniem było unieszkodliwianie konfliktów wojennych przez działanie wprost (interwencje Ligi Narodów, traktaty arbitrażowe, Trybunał międzynarodowy w Hadze), albo przez działanie pośrednie (ograniczanie zbrojeń). Powodziło się jej dotąd nie źle. Możnaby się tylko spierać, czy pewne osiągnięte w tym względzie wyniki, przypisać należy organowi tej „europejskiej" polityki Lidze Narodów, czy też znużeniu ostatnią wojną... Zaczyna się jej jednak gorzej powodzić, kiedy do towarzystwa ponosiło się butne, imperjalistyczne Niemcy. Widoczna stało się rzeczą, że nowy członek „europejskiej" rodziny przychodzi do L. N. z planami, które nie do pokoju, ale do rozstroju zmierzają. Cała trudność jaka z tego stanu rzeczy wypływa, wyraża się praktycznie w zagadnieniu — rekonstrukcji Ligi Narodów, — w zagadnieniu, od którego rozwiązania zależy wprost egzystencja Ligi Narodów.

Albowiem, jeżeli reorganizacja L. N. nie zabezpieczy zainteresowanym uroszczeniami Niemiec państw, to te zabezpieczenia szukać będą na własną rękę, poza L. N., a bodaj, czy i nie przeciw niej. Europa wrócić będzie wówczas musiała do przedwojennego systemu sojuszów i przymierzy, i rozpaść się na bloki państw nastawione na obronę, a więc i na — walkę.

Ożyby to dla Polski było lepsze od obecnego stanu, wolno wątpić. Jest bowiem zbyt oddalona od dwóch historycznych czy świeżych swoich przyjaciół, państwa francuskiego i włoskiego, a natomiast zbyt blisko ma silnych nieprzyjaciół.

Nie mniejsze trudności ma „europejska" polityka w drugiej dziedzinie, którą się ostatnio coraz więcej musi siłą faktów interesować, — w dziedzinie gospodarczej. Zapewne Wilson projektując Ligę Narodów, nie wiele myślał o tem, że międzynarodowa organizacja państw będzie musiała podjąć i gospodarcze problemy. A jednak tak, jak rzeczy dziś stoją, te właśnie gospodarcze problemy zapowiadają się jako najważniejsze i najtrudniejsze sprawy międzynarodowych obrad. Loucheur w wywiadzie udzielonym świeżo berlińskiej „Germanii", tak tę konieczność po prostu określił:

„Stoimy przed faktem, że za Oceanem istnieje potężny, samodzielny, silny i jednolity obszar gospodarczy o niezmiernem bogactwie i coraz większej ekspansji, gdy na naszym kontynencie duża liczba karłowatych gospodarstw wiedzie żywot suchotniczy i popada w coraz większą niewolę u amerykańskiego kolosa. Aby ten rozwój powstrzymać, musimy w nasze gospodarstwo wprowadzić trochę rozumu i organizacji".

Ale — jak?

Na przeszkodzie stoi naprzód zupełna bezplanowość produkcji europejskiej w ogólnem zestawieniu poszczególnych państw. Prawie niemożliwością wydaje się taka jej międzynarodowa organizacja, by silne gospodarczo państwa nie zabiły słabszych produkcyj; a jeśli zabiją,— jeśli pewne państwa stracą swoją ekonomiczną niezależność na rzecz drugich, czem im to będzie wynagrodzone? — I prawie chimerą na najbliższy okres lat wydaje się unja celna Europy, któraby przecież winna przyjść, a która tak jest sprzeczną z dotychczasowym kursem gospodarczym wszystkich bez wyjątku państw Europy.

Są to jednak rzeczy dalsze, powie ktoś! Słusznie! Przypatrzmy się więc bliższym. Do nich należy w pierwszym rzędzie sprawa waluty i finansów poszczególnych państw. Jak długo frank francuski spada, jak długo przyszłość franka belgijskiego, złotego, leja, korony czeskiej, austrjackiej, nie jest zapewniona, — jak długo finanse większości państw Europy są nieuporządkowane, — tak długo niema mowy o międzynarodowem porozumieniu gospodarczem. Wszystko to widzą politycy i ekonomiści Europy. Ale też na tem się ich akcja kończy. Nie widzą jeszcze sposobów na usunięcie tej najbliższej i najważniejszej trudności. Dlatego i międzynarodowa konferencja gospodarcza, postanowiona we wrześniu ub. r., dotąd nie może dojść do skutku.

Oto są chmury, które się ostatnio pod kopułą „europejskiej" polityki zebrały! Czy się ich nie da rozproszyć?

Odpowiem na to pytanie — analogją!

Kiedy kwestja robotnicza wstępowała w swoje ostre stadjum, wtedy Leon XIII. powiedział, że — kwestja robotnicza jest nie tylko kwestją materjalną, ale przedewszystkiem moralną i dlatego moralnemi środkami załatwiać ją należy. Powiedział to wbrew socjalizmowi i wbrew państwu, z których każde w kwestji robotniczej stosowało tylko mechanistyczne środki i stosuje do dziś dnia. Dlatego tak dalecy jesteśmy od jej załatwienia.

W tensam błąd wpadamy i w kwestji współżycia narodów. Zarówno modny dziś pacyfizm, jak Liga Narodów uzależniają powodzenie swojego dzieła od mechanistycznych czynników, a zapominają, że niemożliwą jest symbioza państw, które wczoraj jeszcze toczyły z sobą krwawą wojnę, bez duchowej przemiany społeczeństw, bez wychowania społeczeństw w duchu jedności, — powiedzmy: bez chrześcijaństwa. A nie są to przeciwieństwa; moralne wychowanie społeczeństw nie będzie krzyżowało planów, ustaw i zarządzeń podejmowanych dla pokoju Europy, — owszem będzie im zapewniało grunt jedynie trwały — bo duchowy.

Zapewne, że to drogi „europejskiej" polityki przedłuża, ale je — prostuje, co jest w tej sprawie najważniejsze! W. Z.

O połączenie S. K. L. z Ch. D.

W „Ludzie Katolickim" (nr. 14) czytamy, że na zebraniu Rady naczelnej Stronnictwa Katolicko-Ludowego przyjęto następującą uchwałę:

„Rada naczelna S. K. L. na podstawie sprawozdań, wyznaczonych do rokowań z Chrześc. Demokracją, przyszła do przekonania, że żądanie bezwarunkowego zlania się ze stronnictwem Chrześc. Demokracji jest główną przeszkodą do doprowadzenia rokowań do pożądanego wyniku. Dlatego poleca komitetowi wykonawczemu S. K. L., aby zwrócił na to uwagę władz stronnictwa Chrześc. Demokracji i szukał nowej platformy do prowadzenia dalszych rokowań".

Jak się informujemy w Sekretarjacie Ch. D. na Małopolskę zachodnią, dotąd S. K. L. nie zawiadomiło Ch. D. o uchwałach swej Rady naczelnej. Z chwilą, kiedy się to stanie, a Ch. D. małopolska ustali swój pogląd na stanowisko zajęte ostatnio przez S. K. L., przyjdzie czas na omówienie uchwały Rady naczelnej S. K. L.

Dziś już jednak pozwolimy sobie zwrócić uwagę „Ludu Katolickiego" na pewną niedokładność, którą widzimy w jego sprawozdaniu z rokowań obydwu stronnictw. Powiedziane w niem bowiem, że Ch. D. zaraz na wstępie rokowań postawiła żądanie, aby Stronnictwo nasze (t. j. S. K. L.) całkowicie zrezygnowało ze swojej odrębności". Jest to niedokładność, której członkowie komisji porozumiewawczej ze strony S. K. L. winni byli przecież zapobiec. Stwierdzamy, że przedstawiciele Ch. D., uwzględniając przeszłość i charakter stronnictwa Kat. Lud., gwarantowali mu pewne szczególne przywileje w ramach jednolitej ogólnej organizacji.

Proces o Chorzów.

W Chorzowie na polskim Górnym Śląsku wznosi się wielka fabryka, która produkuje głównie wytwory azotowe, używane jako nawozy sztuczne. Pokojowej wytwórczej pracy ona dziś służy — choć nie taki był pierwotny jej cel, kiedy kładli pod nią fundamenty Niemcy w czasie wojny. O tę fabrykę toczy się teraz proces między Niemcami a Polską przed t. zw. „stałym trybunałem międzynarodowej sprawiedliwości w Hadze". Toczy się już właściwie po raz drugi. Pierwszy raz sprawę o Chorzów rozpatrywał w sierpniu ubiegłego roku — wtedy chodziło tylko na razie o kwestje ściśle procesowej natury, o to, czy trybunał haski jest kompetentny do rozstrzygania sporu. Wyrok z 25 sierpnia wypadł na razie na naszą niekorzyść; trybunał nie uznał swej niekompetencji, uważając, iż nie może tej sprawy rozstrzygnąć, dopóki nie rozpatrzy jej in merito. Obecnie na nowo podjęto proces. Cały marzec trwały obrady, które nie doszły jeszcze do końca; po świętach proces w dalszym ciągu będzie się toczył.

Sprawa to duża, bardzo duża. Wartość objektu sporu przewyższa setkę miljonów marek złotych. Ale nietylko o tę sumę chodzi Niemcom. Ich cel idzie dalej. Jak to wyraźnie zaznaczyło się już w ciągu procesu, Niemcy chcą doprowadzić do tego, by doprowadzić do unieważnienia ustawy polskiej z 14 lipca 1920 r., wydanej w wykonaniu praw, przysługujących Polsce z mocy traktatu wersalskiego. Adwokat niemiecki w memorjale, przedłożonym trybunałowi, wyraźnie zaznacza, iż sprawa o Chorzów została podniesiona jako tylko przykład zastosowania ustawy polskiej z 14 lipca 1920 r.

Jakże przedstawia się istota sporu?

By ją wyjaśnić, trzeba sięgnąć do historji, cofnąć się do czasów wojennych. Niemcom w czasie wojny zaczęło brakować — jak czytamy w skardze niemieckiej — wytworów azotowych potrzebnych dla rolnictwa. Wiemy jednak, że Niemcom chodziło właściwie przedewszystkiem o azot, potrzebny do celów wojennych. Dość, że trzeba było powiększyć fabrykację azotu. System produkcji azotu, wynaleziony przez prof. dra Cara, uznawany za najlepszy, stosowano w wielkiej fabryce bawarskiej: Bayerische Stickstoffwerke. Towarzystwo to nie miało samo kapitału na rozbudowywanie produkcji. Przytem Niemcy chciały nową fabrykę założyć z dala od teatru wojny bezpośredniej; uważały Górny Śląsk za najodpowiedniejszy do tego teren. Doszło w takich warunkach do porozumienia się między państwem niemieckiem, reprezentowanem przez Reichsschatzamt a towarzystwem Bayerische Stickstoffwerke; kontrakt podpisano 5 marca 1915 r. Grunta pod fabrykę oraz kapitału na budowę i urządzenia fabryki dostarczyło państwo niemieckie, zaś eksploatację objęły Stickstoffwercke, które oddały na użytek fabryki wszelkie służące im patenty i całe swoje doświadczenie. Fabryka cała była zahipotekowana na państwo. Również na rachunek państwa niemieckiego dokonywać się miała cała fabrykacja azotu i tegoż sprzedaż. To oczywista tylko najistotniejsze przepisy tego kontraktu.

Nie mogę też wchodzić bliżej w ściśle prawne kwestje charakteru tego kontraktu. To co powiedziałem wyżej, wystarcza, by stwierdzić, iż fabryka była własnością państwa niemieckiego, na które była zapisana, a tylko do patentów miało wyłączne prawo bawarskie towarzystwo.

Przyszedł koniec wojny. Dnia 10 stycznia 1920 r. wszedł traktat wersalski w życie — dnia 15 czerwca 1922 r. przeszła na Polskę suwerenność na przyznanej jej części Górnego Śląska. Te daty należy mieć na uwadze.

Otóż traktat wersalski w artykule 256 postanawiał, iż państwa, którym dostają się terytorja po Niemczech, otrzymują też własność państwową Niemiec, na tych terytorjach leżącą. Fabrykę chorzowską. Polska, po objęciu Górnego Śląska, przejęła w myśl artykułu 256 traktatu wersalskiego i ustawy polskiej, o ten artykuł opartej, z 14 lipca 1920 r. Przejęła oczywista także i wykonywanie patentów, należących do Bayerische Stickstoffwerke, które stanowiły accessorium fabryki.

Tymczasem między datą rozejmu a datą wejścia w życie traktatu wersalskiego został zawarty 24 grudnia 1919 r. nowy kontrakt, tyczący się Chorzowa, którym fabryka została sprzedana za 110.000.000 marek niem. przez państwo nowo utworzonej spółce „Oberschlesische Stickstoffwerke". Sposób dojścia do skutku tego kontraktu przedstawia się jako wysokoprocentowa prawnicza finezja. I otóż przedmiot sporu tak się przedstawia. Polska uważa, iż cały ten kontrakt z 24 grudnia 1919 r., to działanie „in fraudem legis", mające na celu przeszkodzenie Polsce w wykonywaniu jej praw, wynikających z art. 256 traktatu wersalskiego; Niemcy zdaniem Polski nie miały prawa wobec postanowień rozejmu z 11 listopada 1918 r. przed wejściem w życie traktatu wersalskiego, pozbywać się swej własności państwowej, która miała przypaść Polsce. Polska miała więc prawo objąć fabrykę chorzowską jako dobro państwowe, za które zresztą musi uznać odpowiednią sumę pieniężną na rachunek komisji odszkodowań do ostatecznego obrachunku wzajemnego z Niemcami.

Niemcy zaś twierdzą, iż rozejm z 11 listopada tego rodzaju tranzakcyj nie zabraniał, że więc fabryka w Chorzowie była w dniu jej objęcia już prywatną własnością, nie podlegającą na Górnym Śląsku likwidacji po jego objęciu przez Polskę; żądają jej oddania z powrotem towarzystwu utworzonemu w r. 1919, a zatem unieważnienia co do Chorzowa postanowień ustawy polskiej z 14 lipca 1920 r.

Nie trudno osądzić, po czyjej stronie jest moralne prawo.

Tak się przedstawia ten spór — oczywista tylko w najgrubszych zarysach. Prawniczych wątpliwości jest cały szereg. Sprawa to niesłychanie trudna. A stanowi ona jeden z tych licznych ataków, które Niemcy obecnie w Polskę wymierzają — i które będą mnożyć zwłaszcza przed sesją jesienną Ligi Narodów, na której ma się rozstrzygnąć sprawa wejścia Polski do Rady Ligi.

Stanisław Kutrzeba.

———oOo———

Sądy cudzoziemców

o bogactwach naturalnych dawnej Polski.

Opinja zagranicy o każdym kraju kieruje się zawsze względem na korzyść własną tego, który tę opinję wydaje. Dziś nie cenią nas Anglicy, Amerykanie, Włosi i t. d., bo niewiele na nas zarabiają. Prawda, że chcieliby na nas zarobić bez ryzyka, a my nie możemy wydać im na łup tego, co mamy. Nie ulega jednak wątpliwości, że gdyby się zagranicę lepiej informowało, a złośliwym fałszom naszych „najserdeczniejszych" przez umiejętną propagandę przeciwdziałało, mogłaby ta zagranica powoli zmienić sąd o nas. W czasach rozkwitu dawnej Polski, gdy po zaciętych, mnogich wojnach z krzyżactwem odzyskała ujście Wisły, mając w Gdańsku nie kulę u nogi, jak obecnie, ale pierwszorzędny port do swojej dyspozycji — była opinja zagranicy o naszych stosunkach ekonomicznych bardzo pochlebna. Najlepszą propagandą dla naszego znaczenia ekonomicznego było wtedy **polskie zboże**, którem żywił się zachód Europy. Z polskiem zbożem rozchodziła się po świecie sława polskiego dobrobytu, a nawet Niemcowi nie przyszło na myśl wyrażać się ironicznie o „polnische Wirtschaft", bo dzięki tej „polskiej gospodarce" jadł tani i dobry polski chleb i mięso z polskich tucznych wołów. To dobre mniemanie o naszej zamożności i rządności gospodarczej przyczyniło się niemało i do podniesienia politycznego znaczenia Polski, które ciągle rosło od unji z Litwą, od grunwaldzkiego zwycięstwa, od czasów, gdy zachód poznał takich przedstawicieli polskiej wiedzy i kultury, jak Paweł Włodkowic, Stanisław Hozjusz, Marcin Kromer i tylu, tylu innych. Szanowano nas, jako potężnych i zamożnych, i pożądano, jako sojuszników.

Liczni i wybitni cudzoziemcy, którzy w owych czasach do Polski przyjeżdżali, interesowali się wszystkiem tem, co się u nas działo, a to nie tylko wypadkami politycznemi i osobistościami wybitnemi, ale także krajem, jego przyrodą i bogactwami, ludnością, jej zwyczajami i t. d. Niektórzy z nich spisywali swoje spostrzeżenia, a w ten sposób mamy dziś bardzo poważne źródło do ustalenia sobie sądu o ówczesnej opinji zagranicznej o Polsce. Najwybitniejszymi z tych cudzoziemców, to ówcześni posłowie zagraniczni, a przedewszystkiem nuncjusze popiescy i posłowie weneccy, jako przedstawiciele tych dwu potęg, u których sztuka dyplomatyczna najwcześniej rozwinęła się, a w 15 i 16 wieku stała najwyżej. Najważniejsze z ich sprawozdań odnoszą się do drugiej połowy 16 wieku, a głównie do ostatnich lat rządów Zygmunta Augusta i pierwszych lat po jego śmierci. Sąd tych wybitnych cudzoziemców o Polsce i jej stosunkach ekonomicznych jest nader korzystny i pochlebny, tak, że pod tym względem tylko pozazdrościć możemy naszym praojcom.

I. **R o l n i c t w o.** Jeżeli w dzisiejszej Polsce jeszcze około trzy czwarte ludności zajmuje się rolnictwem, to w 16 wieku procent ludzi tego zajęcia był oczywiście o wiele wyższym. Posłowie cudzoziemscy w swych relacjach jednogłośnie wychwalają żyzność naszej gleby, podnosząc jednak, że przeważną część kraju pokrywają olbrzymie lasy. Jako najurodzajniejszą dzielnicę wymieniają Podole, a nuncjusz Fulvio Ruggieri wspomina, że w dzielnicy tej jest taka obfitość zboża, że ono nieraz w znacznej części ginie na pniu, tak dla braku rąk do pracy na żniwa, jak i z powodu braku zbytu, do czego przyczynia się odległość Podola od głównych dróg polskiego handlu.

Wspomniani posłowie zgodnie zaznaczają, że zboże jest głównym artykułem polskiego handlu wywozowego. W relacjach tych mamy potwierdzenie faktu znanego skądinąd, że Polska była głównym dostawcą zboża w Europie. Handel zbożem koncentrował się głównie w Gdańsku, dokąd zboże sprowadzano z całego kraju przeważnie drogą wodną, t. j. Wisłą i doskonale rozwiniętą siecią jej dopływów. Nasi włoscy informatorowie podają, że port gdański był jednym z największych w Europie, a przytem dobrze obwarowanym. Mógł pomieścić do 500 okrętów i posiadał olbrzymie magazyny, które były własnością kupców miejscowych. Kupcy ci byli głównymi pośrednikami handlowymi między Polską a zagranicą i oni to odnosili z tego handlu zysk największy. Główny doroczny jarmark rozpoczynał się na św. Dominika (4 sierpnia) i trwał dni 16. W pierwszych ośmiu dniach przybywały do portu okręty cudzoziemskie: Anglicy, Flamandowie, Portugalczycy i Hiszpanie przywozili płody kolonialne, ci ostatni i Francuzi także swoje wina. Wyroby swego przemysłu, a zwłaszcza przednie sukna, przywozili Flamandowie i Anglicy, a także Niemcy. Wszystko to skupowali kupcy gdańscy i umieszczali w swych obszernych magazynach, które były strzeżone przez silne straże. W następnych ośmiu dniach przypływały Wisłą polskie statki rzeczne, wiozące zboże, len, konopie, miód, drzewo i inne płody surowe. Ale podobnie jak polski konsument nie zaopatrywał się w Gdańsku w towary zagraniczne, kupując bezpośrednio od cudzoziemca, tak też kupiec obcy nie nabywał od Polaka wprost polskiego towaru, lecz i polskie płody surowe przechodziły przez rękę gdańskiego pośrednika. Pośrednictwo to było co prawda ze względów technicznych koniecznem, bo ułatwiało rzecz tak Polakom, jak i cudzoziemcom, niemniej jednak faktem jest, że Gdańsk bogacił się głównie dzięki temu pośrednictwu i to kosztem tak Polski, jak i zagranicznych kupców.

Autorowie relacji zauważyli też w Polsce niepospolity rozkwit **ogrodnictwa**. Nie wspominają wprawdzie szczegółowo o hodowli jarzyn, ale niewątpliwie byliby ten brak wytknęli, gdyż byli Włochami, a więc synami kraju, który słynął na całą Europę z warzywnictwa, a skąd inąd wiadomo, że na kilkadziesiąt lat przedtem, t. j. na czasy Zygmunta Starego i Bony przypada rozpowszechnienie w Polsce jarzyn. Bardziej charakterystycznem jest, że nasi Włosi chwalą hodowlę owoców w Polsce, wymieniając jako dzielnice odznaczające się pod tym względem okolice Krakowa, Sandomierza i Warszawy, tudzież niektóre powiaty Prus Królewskich.

Najciewawszem jest bodaj to, co piszą o **polskich winnicach**. Ponieważ hodowla wina u nas z czasem upadła, przeto obecnie jest ta sprawa szerszemu ogółowi zupełnie nieznaną. W relacjach wspomnianych włoskich posłów znajdujemy wymienionych 13 miejscowości, w których w owych czasach zajmowano się uprawą winorośli. W „Słowniku geograficznym" znajdujemy jeszcze 38 innych miejscowości i wzgórzy, których nazwy pochodzą od słowa „wino", jak Winnica, Winniczka, Winniki, Winna Góra, Winograd i t. p. Tak np. wspomniany nuncjusz F. Ruggieri podaje, iż wino uprawiano w Krośnie, w Małopolsce, co zgadza się z faktem, że obok tego miasta znajduje się bezleśne wzgórze, zwane „Winna Góra". Z położenia wszystkich wspomnianych miejscowości wynika, że uprawą wina zajmowano się w południowych, najurodzajniejszych ziemiach Polski, jak na Podolu, Rusi Czerwonej, w Małopolsce, w południowych powiatach Mazowsza i Wielkopolski, ogółem na południe od linji, utworzonej przez Noteć, środkowy bieg Wisły, Bug i Prypeć. Wprawdzie klimat nasz nie sprzyja hodowli wina, ale też jej nie wyklucza, gdyż winogrona do dojrzenia wymagają przedewszystkiem należytego ogrzania przez słońce. Dlatego do uprawy tej rośliny nadają się stoki wzgórzy, zwrócone ku południowi, a takich u nas oczywiście nie brak. Jeżeli nadto gleba jest dość urodzajną i rozgrzewa się łatwo od promieni słonecznych, to uprawa wina i w naszej szerokości geograficznej jest możliwa. Wino polskie nie było oczywiście pierwszej jakości, ale sam fakt, że Włosi dość dużo piszą o polskich winnicach i to traktują je na serjo, świadczy, iż hodowla wina nie była wtedy u nas bez znaczenia.

II. **C h ó w b y d ł a** stał wtedy w Polsce bardzo wysoko, a zwłaszcza na Podolu, obfitującem w pierwszorzędne pastwiska, na które,

Wydawca: za „Głos Narodu“ Spółka Wydawnicza z ogran. odpowiedz. K. Hołeksa. — Redaktor naczelny i odpowiedz. Jan Matyasik. — Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie pod zarządem R. Ferka.